WIELKA BRYTANIA

REJESTR DOTYCZY:

GOLL Edmund

.....

s/c ..... i .....

z d. .....

25.04.1910 w Warszawie

kraj: .....

-+ 18.07.2001 w Antokol [Polish Home], Chislehurst

kraj: Wielka Brytania

pochowany: cmentarz Ewangelicko-Augsburski w Warszawie

nr grobu: .....

Nr rejestracyjny

...../.....

Nota zamieszczona:
w tomie .....
czesci .....

Indeks

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

Uwagi:

Nota:

Przypisy:

Źródła i bibliografia:

znak rozpoznawczy

* Wiadomosci nr 1351 z 2o.2.72 "Składałem "Wiadomości" w Brukseli — 50M/ nr 1351/

+ Nekrologi: „Dziennik Polski" 23.07.2001, 27.07.2001
„Tydzień Polski" 21.07.2001

+ Ostatnie pożegnanie Edmunda Golla, „Dziennik Polski", 16.10.2001

+ Pan Emund: „Tydzień Polski" 16.08.2001

+ Śp. Edmund Goll: „Tydzień Polski" 16.08.2001

+ Bobka, Lestaw: Bobkowy alfabet emigracyjny, [w:] „Tydzień Polski" 25.10.2009

D.P. 27.VII.2001

Ś. † P.

EDMUND GOLL

żołnierz 1 Dywizji Pancernej,
drukarz i pisarz w polskiej prasie na Zachodzie,

urodzony 25 kwietnia 1910 r.,
zasnął w Panu 18 lipca 2001 r.

Pożegnany żałobnym nabożeństwem 25 lipca 2001 r. w Londynie,
Jego prochy spoczną później na Ewangelickim Cmentarzu w Warszawie.
Pogrążeni w żałobie
Polska Parafia Ewangelicka Chrystusa Pana w Londynie
i Zrzeszenie Ewangelików Polaków w Wielkiej Brytanii

2440

D.P. 23.VII.2001

Ś. † P.

EDMUND GOLL

ur. 25 kwietnia 1910 r., zm. 18 lipca 2001 r.

ukochany Ojciec i Dziadek,
żołnierz 1 Dywizji Pancernej,
kolarski mistrz Polski,
wieloletni pracownik „Dziennika Polskiego",
zasnął w Panu 18 lipca 2001 r. w Antokolu
przeżywszy 91 lat.
Spopielenie odbędzie się w środę 25 lipca 2001 r. o godz. 11.00
w New Southgate Crematorium, Brunswick Park Road, London N11.

Pogrążeni w smutku żegnają Go

DZIECI, WNUKI I PRAWNUKI
ORAZ RODZINA W POLSCE

2432

D.P. 23.VII.2001

Ś. † P.

EDMUND GOLL

mistrz sztuki drukarskiej

ur. 25 kwietnia 1910 r.
Zecer, linotypista,
od 1940 r. w drukarni „Dziennika Żołnierza" w Szkocji,
później w drukarni polowej „Dziennika Żołnierza 1 Dyw. Pancernej".
W 1947 r. rozpoczął pracę przy składaniu „Dziennika Polskiego"
w Londynie, później „Wiadomości".
Od 1967 r. do 1984 r. pracownik Caldra House.
Lubiany przez wszystkich, dobry kolega, znakomity gawędziarz,
autor wielu artykułów,
zmarł 18 lipca 2001 r. w Antokolu.

Żegnają Go

Powiernicy i Dyrekcja Polskiej Fundacji Kulturalnej
Redakcje „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza"
oraz „Tygodnia Polskiego"
i Pracownicy Caldra House

2434

D.P. 23.VII.2001

Ś. † P.

ppor. EDMUND GOLL

zmarł 18 lipca 2001 r. Antokolu
w wieku 91 lat.

Długoletni kronikarz 1 Dywizji Pancernej,
linotypista, pisarz i publicysta.
Jeden z założycieli „Dziennika Żołnierza" w Forfar,
później w drukarni objazdowej.
W kampanii 1944/45 na Kontynencie.
Po wojnie w drukarni „Dziennika Polskiego" i „Tygodnia'
w Caldra House, Hove.
Odznaczony wieloma medalami polskimi i brytyjskimi,
wyróżniony Złotą Odznaką 1 Dywizji Pancernej.

Cześć Jego pamięci!

ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU KÓŁ
1 DYWIZJI PANCERNEJ

2436

T.P. 21.VII.2001

Ś. † P.

EDMUND GOLL

ur. 25 kwietnia 1910 r., zm. 18 lipca 2001 r.

ukochany Ojciec i Dziadek,
żołnierz 1 Dywizji Pancernej,
kolarski mistrz Polski,
wieloletni pracownik „Dziennika Polskiego",
zasnął w Panu 18 lipca 2001 r. w Antokolu
przeżywszy 91 lat.
Spopielenie odbędzie się w środę 25 lipca 2001 r. o godz. 11.00
w New Southgate Crematorium, Brunswick Park Road, London N11.

Pogrążeni w smutku żegnają Go

DZIECI, WNUKI I PRAWNUKI
ORAZ RODZINA W POLSCE

2432

EDMUND GOLL

Składałem »Wiadomości« w Brukseli

„KSIĄŻKA O GRYDZEWSKIM" tylko w kilku słowach kwituje okres, w którym „Wiadomości" ukazywały się w Brukseli, mylnie informując że tygodnik drukowano z matryc tekturowych wyciskanych ze składów zecerskich w Londynie, a później jakoby w Belgii robiono z nich odlewy do druku.

Było inaczej. Ponieważ w dojściu do tłoczenia tam „Wiadomości" odegrałem niepoślednią rolę, a próby zorganizowania drukarni o mało nie przypłaciłem życiem (ciut-ciut czekał mnie pogrzeb z honorem wojskowym), wydaje się że celowe będzie o tym okresie opowiedzieć.

★

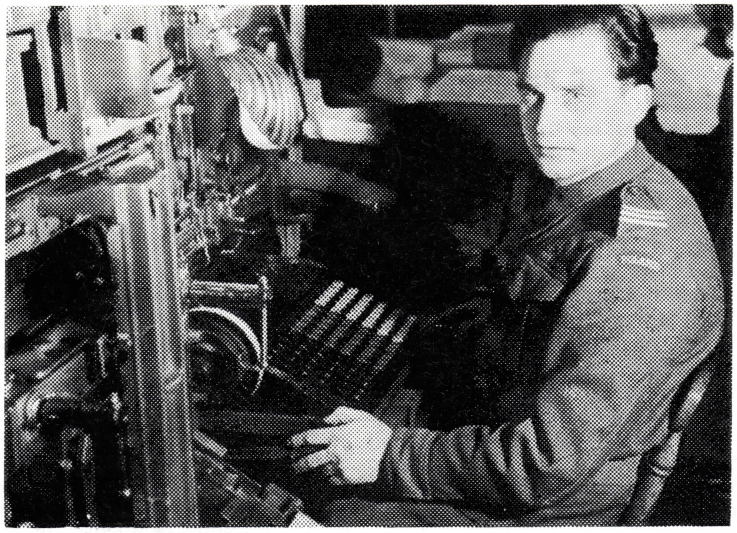
Kiedy 1 Dywizja Pancerna po zakończeniu wojny osiadła na przydzielonym terenie okupacji w Niemczech, „Dziennik Żołnierza 1 Dywizji Pancernej" usadowił się w jedynej drukarni na chodzie na zajętym przez nią terenie, w Quakenbrücku. Drukarnia miała 2 linotypy, małą maszynę rotacyjną, 2 maszyny płaskie i tygiel automatyczny. Właścicielem był gruby Niemiec, Robert Kleinert, b. członek partii hitlerowskiej. Drukarnię zarekwirowano na potrzeby wojska polskiego.

Red. Grydzewski nie należał do ludzi, których byle kto mógł powalić, nawet rząd angielski nie był w stanie zmusić go do milczenia. Po odebraniu mu przydziału papieru, kręcił się po drukarniach i coś zawsze wydawał. Już w lipcu 1945 Redaktor przysłał do Quakenbrücku Antoniego Bormana, aby wywąchał, czy u nas nie udałoby się wznowić wydawania „Wiadomości".

Nie było można. Przede wszystkim mieliśmy jedynie papier gazetowy, fasowany w korpusie kanadyjskim na potrzeby wojska. Poza tym było tylko dwóch linotypistów: Kazimierz Wysocki i ja. Mieliśmy pełne ręce roboty z „Dziennikiem Żołnierza", który teraz ukazywał się w dużym formacie na maszynie rotacyjnej. W drukarni był stary Niemiec, Meyer, który z konieczności musiał uczyć się składać po polsku. W późniejszej fazie dołączył drugi Niemiec, Schwalbe, b. żołnierz pokonanej armii; jego również zapędziliśmy do składania po polsku.

Pod koniec r. 1945 wyjechałem na urlop do Anglii. Naturalnie, pierwsze kroki w Londynie skierowałem do „Dziennika Polskiego", gdzie znałem niemal cały zespół redaktorski. Red. Jana Czarnockiego znałem jeszcze z Warszawy, kiedy pracowałem w „Kurjerze Porannym" jako młody adept sztuki drukarskiej. Czarnocki wszystkim mówił „wy", do mnie zwracał się przez „ty". Uściskał mnie jak rodzonego syna, kazał mi opowiedzieć wszystko o sobie, potem zabrał na wódkę. W toku rozmowy zauważył:

— Słuchaj Edmund, pomóżcie Grydzewskiemu; wiem że nie macie papieru, że mało drukarzy, ale także wiem że przy dobrych chęciach wiele



Autor przy linotypie. Zdjęcie z opisywanych czasów

czcionki do maszyn) pojechałem do firmy „Stempel" we Frankfurcie-nad-Menem. Ponieważ w owym czasie trzeba było dostarczyć trzy razy tyle mosiądzu ile wynosił gotowy produkt, ciężarówka była wyładowana do połowy łuskami od pocisków artyleryjskich, pochodzenia niemieckiego. Termin dostawy dopiero za pół roku. Jednak z tym nie było kłopotu, gdyż byłem właścicielem trzech zespołów matryc z polskimi akcentami, które zakupiłem w Glasgow jeszcze w r. 1943 z myślą o powrocie do kraju. Dla orientacji dodam że w owym czasie zespół matryc kosztował £40, dziś £120.

Wreszcie, kiedy udało się zebrać najbardziej niezbędne rzeczy, załadowaliśmy je na 3-tonową Dodge i ruszyliśmy bardzo wczesnym rankiem do Brukseli. Za kierownicą siedział plut. W. Waszelkowski, nawigacją zajmował się ppor. A. Niklewicz. Usadowiłem się wygodnie wśród sprzętu drukarskiego i usnąłem.

Zbudził mnie potężny huk i samochód zakołysał się brzydko. Przez mózg błyskawica z minionej dopiero wojny: „Artyleria! Dostali nas!". Zakotłowało się, świat dla mnie przestał istnieć.

Obudził mnie straszny ból w udach. Nade mną wisiały 2 słoje z białym płynem, z których zwisały rurki zakończone w moich udach. Z boków kilku lekarzy i siostry szpitalne, wszyscy o uradowanych twarzach.

— Wreszcie... Chyba będzie żył!

A mnie zrobiło się nudno i zwymiotowałem fontanną na pochylone siostry.

Znowu zapadłem w niebyt.

Później dowiedziałem się że u ciężarówki pękła sfatygowana opona, że samochód przekoziołkował kilka razy i spoczął w rowie. Przy koziołkowaniu wypadłem na szosę, zostałem podniesiony jako trup przez przejeżdżający samochód patrolowy dywizji i odstawiony do... przychodni wenerycznej w Lastrup. W przychodni ponoć żartowano sobie że „temu nawet i penicylina nie pomoże". Jednakże lekarz doszukał się jeszcze iskierki życia i odesłał mnie

cjonistów w polskich mundurach".

Na prośbę „Colonny" dowództwo udzieliło mi miesięcznego urlopu, abym pomógł w nawale pracy. Tym razem pojechałem pociągiem. Nastały dla mnie dobre czasy. Brałem żołd ogniomistrza, strawne i pełną stawkę drukarza, z prawem korzystania ze wszystkich przywilejów wojskowych dla urlopowiczów.

Przez cztery tygodnie składałem „Wiadomości" z rękopisów dostarczanych pocztą z Londynu. Red. Grydzewskiego w tym czasie widziałem tylko raz i to krótko, gdzieś się śpieszył.

Sprawami „Wiadomości" w Brukseli zajmował się Zbigniew Florczak, człowiek może 25-letni, piszący, gładki, duma Bormana.

— Panie, chłopak jak złoto, już ja go wychowam na następcę Grydzewskiego — zapewniał każdego kto chciał słuchać.

W kilka miesięcy później Florczak wyjechał do Polski i pisywał służalcze artykuły u Bieruta.

Kiedyś zagadnąłem Bormana:

— Jakże z tym wychowankiem?

— No cóż, przykrość nam zrobił. Chcieliśmy z Grydzewskim zrobić z niego człowieka, a tymczasem okazało się, że on g..... Już nie będzie więcej w „Wiadomościach" kandydatów na następców.

Byłem potrzebny w Quakenbrücku. Po czterech tygodniach zajechał po mnie jeepem Paweł Kornelius, który był na przepustce u narzeczonej, z urlopu także wracał Niklewicz. Koło granicy holenderskiej zaskoczył nas ulewny deszcz. Kornelius zaciągnął budę, za kierownicą usiadł Niklewicz. Droga prawie pusta, dodał gazu. Przy wymijaniu ciężarówki wóz poślizgnął się, trzasnął w nią bokiem i przekoziołkował tuż przed potężnym drzewem w pole. Leżałem drętwy, Niklewicz posadził mnie pod drzewem, a sam nagle upadł.

Ciężarówka Dodge odwiozła nas wszystkich trzech do szpitala w którym leżałem, przed kilku miesiącami. Po oględzinach, Korneliusa i mnie odstawiono do Quakenbrücku jako poturbowanych. Niklewicz miał pęknięty krąg, musiał przerwać pracę i ła-

nie udałoby się wznowić wydawania „Wiadomości".

Nie było można. Przede wszystkim mieliśmy jedynie papier gazetowy, fasowany w korpusie kanadyjskim na potrzeby wojska. Poza tym było tylko dwóch linotypistów: Kazimierz Wysocki i ja. Mieliśmy pełne ręce roboty z „Dziennikiem Żołnierza", który teraz ukazywał się w dużym formacie na maszynie rotacyjnej. W drukarni był stary Niemiec, Meyer, który z konieczności musiał uczyć się składać po polsku. W późniejszej fazie dołączył drugi Niemiec, Schwalbe, b. żołnierz pokonanej armii; jego również zapędziliśmy do składania po polsku.

Pod koniec r. 1945 wyjechałem na urlop do Anglii. Naturalnie, pierwsze kroki w Londynie skierowałem do „Dziennika Polskiego", gdzie znałem niemal cały zespół redaktorski. Red. Jana Czarnockiego znałem jeszcze z Warszawy, kiedy pracowałem w „Kurjerze Porannym" jako młody adept sztuki drukarskiej. Czarnocki wszystkim mówił „wy", do mnie zwracał się przez „ty". Uściskał mnie jak rodzonego syna, kazał mi opowiedzieć wszystko o sobie, potem zabrał na wódkę. W toku rozmowy zauważył:

— Słuchaj Edmund, pomóżcie Grydzewskiemu; wiem że nie macie papieru, że mało drukarzy, ale także wiem że przy dobrych chęciach wiele można zrobić. Pomyśl nad tym, synku...

Nie wiem czy to wódka, czy też serdeczne słowo „synku", ale w oczach zrobiło mi się mokro. Jakże „ojcu" można odmówić?

— Dobrze, panie redaktorze, czyli tato kochany, rozejrzę się na miejscu. Najgorsza sprawa papieru. Drukarzy mamy dosyć, ostatnio dołączyło dwóch (Filip i Dziędzioła), mamy także dwóch uczniów.

Zapewnienie moje nie było gołosłowne. Po zajęciu przez nasze wojsko Wilhelmshaven, zarekwirowaliśmy tam drukarnię na nasze potrzeby. Od drukarzy Niemców dowiedzieliśmy się że partia hitlerowska ukryła przed bombardowaniem pięć linotypów w odległej cegielni w Rastede. Partyjne linotypy? Nie ma już partii hitlerowskiej. Więc czyje? Chyba wojska polskiego. Zdobyczne, no nie? Wiedziałem również iż w Belgii papier jest na wolnym rynku.

Już przedtem kiełkowała w nas myśl o stworzeniu polskiego warsztatu pracy dla ludzi pióra i drukarzy po wyjściu z wojska. Widoki powrotu do Kraju były niewielkie.

Po powrocie z urlopu powtórzyłem kolegom rozmowę z Czarnockim. Uznano że trzeba działać.

Rekwizycje linotypów przeprowadził z wszelkimi formalnościami b. kierownik konsulatu RP w Królewcu, Roland Weckowski. Zwołano personel drukalni partii hitlerowskiej w Wilhelmshaven, ustawiono pod ścianą, i w asyście naszych żandarmów Węckowski odczytał trzęsącym się ze strachu Niemcom akt rekwizycji maszyn po polsku, a następnie czystym pruskim akcentem po niemiecku. Potem: *abtreten!* przyjęte przez spoconych hitlerowców z niekrywaną ulgą. Na marginesie dodam że jeden z partyjników nazywał się... Śliżewski i nie przyznawał się do polskości.

Linotypy przewieziono do Brukseli złożono w piwnicach domu przyjaznego Belga.

Transport [illegible] załadowaliśmy je na 3-tonową Dodge i ruszyliśmy bardzo wczesnym rankiem do Brukseli. Za kierownicą siedział plut. W. Waszelkowski, nawigacją zajmował się ppor. A. Niklewicz. Usadowiłem się wygodnie wśród sprzętu drukarskiego i usnąłem.

Zbudził mnie potężny huk i samochód zakołysał się brzydko. Przez mózg błyskawica z minionej dopiero wojny: „Artyleria! Dostali nas!". Zakotłowało się, świat dla mnie przestał istnieć.

Obudził mnie straszny ból w udach. Nade mną wisiały 2 słoje z białym płynem, z których zwisały rurki zakończone w moich udach. Z boków kilku lekarzy i siostry szpitalne, wszyscy o uradowanych twarzach.

— Wreszcie... Chyba będzie żył!

A mnie zrobiło się nudno i zwymiotowałem fontanną na pochylone siostry.

Znowu zapadłem w niebyt.

Później dowiedziałem się że u ciężarówki pękła sfatygowana opona, że samochód przekoziołkował kilka razy i spoczął w rowie. Przy koziołkowaniu wypadłem na szosę, zostałem podniesiony jako trup przez przejeżdżający samochód patrolowy dywizji i odstawiony do... przychodni wenerycznej w Lastrup. W przychodni ponoć żartowano sobie że „temu nawet i penicylina nie pomoże". Jednakże lekarz doszukał się jeszcze iskierki życia i odesłał mnie ambulansem do szpitala urazowego w Haselünne. Niklewicza i Waszelkowskiego po opatrunku odesłano do Quakenbrücku.

Miałem wstrząs mózgu, wylew krwi w płucach i w ogóle patrzyłem na księżą oborę. Jednak po trzech tygodniach nabrałem znów ochoty do życia; wkrótce wróciłem na odpoczynek „do domu".

Sprzęt drukarski z rozbitej ciężarówki, który się jeszcze nadawał do użytku, przeładowano na inny samochód i powiózł go do Brukseli Wysocki, który zajął się tam urządzeniem powstającej drukarni.

Ja tymczasem doglądałem zakładu w Quakenbrücku i szukałem chętnych na pracę w Brukseli. Na ogłoszenie iż będą płatni według stawek belgijskich zgłosiło się kilku składaczy. Kandydatom dawałem małą robotę drukarską do wykonania — niech pokażą co potrafią. Wybrałem dwóch, polecając by się demobilizowali do Brukseli.

Nowa drukarnia otrzymała nazwę „La Colonne" i zarządzana była przez powierników: Eizenmana, Węckowskiego i Artura Tarnawskiego. Każdy z nas złożył po tysiąc franków na wydatki wstępne, zwrotne w późniejszym terminie.

Nie było maszyny do druku, więc powiernicy postanowili zamienić jeden linotyp na taką maszynę z właścicielem innej drukarni, który poszukiwał maszyny do składania.

Wreszcie na wiosnę r. 1946 drukarnię puścił w ruch „prezes" Wysocki.

Przyjechali wówczas do Brukseli Borman i Czarnocki, aby omówić szczegóły w związku z wydawaniem „Wiadomości".

Roboty było dużo, gdyż przybył także i „Orzeł Biały", organ II Korpusu, z własnym personelem redakcyjnym i drukarskim, a Dywizja drukowała swoją Księgę „Dywizja Pancerna w walce". Nasi pisarze i poeci również wydawali swe książki. Były rozmaite zamówienia w związku z okupacją Niemiec.

— Panie, chłopak jak złoto, już ja go wychowam na następcę Grydzewskiego — zapewniał każdego kto chciał słuchać.

W kilka miesięcy później Florczak wyjechał do Polski i pisywał służalcze artykuły u Bieruta.

Kiedyś zagadnąłem Bormana:

— Jakże z tym wychowankiem?

— No cóż, przykrość nam zrobił. Chcieliśmy z Grydzewskim zrobić z niego człowieka, a tymczasem okazało się, że on g..... Już nie będzie więcej w „Wiadomościach" kandydatów na następców.

Byłem potrzebny w Quakenbrücku. Po czterech tygodniach zajechał po mnie jeepem Paweł Kornelius, który był na przepustce u narzeczonej, z urlopu także wracał Niklewicz. Koło granicy holenderskiej zaskoczył nas ulewny deszcz. Kornelius zaciągnął budę, za kierownicą usiadł Niklewicz. Droga prawie pusta, dodał gazu. Przy wymijaniu ciężarówki wóz poślizgnął się, trzasnął w nią bokiem i przekoziołkował tuż przed potężnym drzewem w pole. Leżałem drętwy, Niklewicz posadził mnie pod drzewem, a sam nagle upadł.

Ciężarówka Dodge odwiozła nas wszystkich trzech do szpitala w którym leżałem, przed kilku miesiącami. Po oględzinach, Korneliusa i mnie odstawiono do Quakenbrücku jako poturbowanych. Niklewicz miał pęknięty krąg, musiał przerwać pracę i łaził w gipsowym pancerzu ze cztery miesiące.

Jeździłem jeszcze kilka razy do „Colonny", aby pomóc w nawale pracy, ale zawsze pociągiem.

★

„Wiadomości" drukowano w „Colonnie" prawie przez rok (dokładnych dat nie pamiętam), odeszły, kiedy w Anglii przywrócono tygodnikowi pełny przydział papieru. Zaraz potem zwinął manatki „Orzeł Biały" i też przeniósł się do Londynu. 1 Dywizja demobilizowała się.

„Colonna" była nastawiona przede wszystkim na polskie roboty. Nie miała klientów w języku francuskim, nie miała również czcionek i drukarzy obeznanych gruntownie z potrzebami miejscowego rynku. Polskich zamówień było coraz mniej, szybko topniały zarobione poprzednio pieniądze. Drukarnia nie zarabiała na swe utrzymanie i stanęła przed koniecznością likwidacji. (W Belgii za bankructwo idzie się do więzienia). Powiernicy postanowili sprzęt drukarski sprzedać, aby pokryć zaległe rachunki za wszelkie dostawy i usługi.

Sprawę likwidacji przeprowadził Jacek Rząd, który osiedlił się na stałe w Brukseli. Przy ostatecznym rozrachunku każdy z nas otrzymał zwrot depozytu po tysiąc franków, a kilkadziesiąt tysięcy franków przekazano I Dywizji Pancernej na cele społeczne. Tak się zakończył sen o polskim „pałacu pracy" w Brukseli.

★

W siedem lat później zacząłem znowu składać „Wiadomości" w Londynie. Składałem je przez 15 lat, niemal do śmierci red. Grydzewskiego.

Dziś cieszy mnie że pismo przetrwało pomimo burz i wstrząsów dziejowych, przeciwności losu, złej woli niektórych ludzi, śmierci obu założycieli, że niedługo będzie obchodziło 50-lecie niemal nieprzerwanej ciągło-

Jana Czarnockiego znałem jeszcze z Warszawy, kiedy pracowałem w „Kurjerze Porannym" jako młody adept sztuki drukarskiej. Czarnocki wszystkim mówił „wy", do mnie zwracał się przez „ty". Uściskał mnie jak rodzonego syna, kazał mi opowiedzieć wszystko o sobie, potem zabrał na wódkę. W toku rozmowy zauważył:

— Słuchaj Edmund, pomóżcie Grydzewskiemu; wiem że nie macie papieru, że mało drukarzy, ale także wiem że przy dobrych checiach wiele można zrobić. Pomyśl nad tym, synku...

Nie wiem czy to wódka, czy też serdeczne słowo „synku", ale w oczach zrobiło mi się mokro. Jakże „ojcu" można odmówić?

— Dobrze, panie redaktorze, czyli tato kochany, rozejrzę się na miejscu. Najgorsza sprawa papieru. Drukarzy mamy dosyć, ostatnio dołączyło dwóch (Filip i Dziędzioła), mamy także dwóch uczniów.

Zapewnienie moje nie było gołosłowne. Po zajęciu przez nasze wojsko Wilhelmshaven, zarekwirowaliśmy tam drukarnię na nasze potrzeby. Od drukarzy Niemców dowiedzieliśmy się że partia hitlerowska ukryła przed bombardowaniem część linotypów w odległej cegielni w Rastede. Partyjne linotypy? Nie ma już partii hitlerowskiej. Więc czyje? Chyba wojska polskiego. Zdobyczne, no nie? Wiedziałem również iż w Belgii papier jest na wolnym rynku.

Już przedtem kiełkowała w nas myśl o stworzeniu polskiego warsztatu pracy dla ludzi pióra i drukarzy po wyjściu z wojska. Widoki powrotu do Kraju były niewielkie.

Po powrocie z urlopu powtórzyłem kolegom rozmowę z Czarnockim. Uznano że trzeba działać.

Rekwizycje linotypów przeprowadził z wszelkimi formalnościami b. kierownik konsulatu RP w Królewcu, Roland Weckowski. Zwołano personel drukarni partii hitlerowskiej w Wilhelmshaven, ustawiono pod ścianą, i w asyście naszych żandarmów Węckowski odczytał trzęsącym się ze strachu Niemcom akt rekwizycji maszyn po polsku, a następnie czystym pruskim akcentem po niemiecku. Potem: *abtreten!* przyjęte przez spoconych hitlerowców z nieukrywaną ulgą. Na marginesie dodam że jeden z partyjników nazywał się... Śliżewski i nie przyznawał się do polskości.

Linotypy przewieziono do Brukseli i złożono w piwnicach domu przyjaznego Belga.

Teraz powstała sprawa lokalu. Zajął się tym Mieczysław Eizenman, wynajął sporą salę zawaloną starymi gratami.

No tak, linotypy to jeszcze nie drukarnia. Trzeba mieć regały, pisma tytułowe, stoły do łamania, maszynę płaską i t.p.

Te zmartwienia pozostawiono mnie. Część sprzętu przyszła z Rastede, a poza tym w Niemczech można było wszystko dostać za kawę ziarnistą i papierosy. Pisma tytułowe zamówiłem w Hamburgu w firmie „Gensch und Heyse". Termin wykonania 6 tygodni. Po matryce do linotypów (mosiężne

Znowu zapadłem w niebyt.

Później dowiedziałem się że u ciężarówki pękła sfatygowana opona, że samochód przekoziołkował kilka razy i spoczął w rowie. Przy koziołkowaniu wypadłem na szosę, zostałem podniesiony jako trup przez przejeżdżający samochód patrolowy dywizji i odstawiony do... przychodni wenerycznej w Lastrup. W przychodni ponoć żartowano sobie że „temu nawet i penicylina nie pomoże". Jednakże lekarz doszukał się jeszcze iskierki życia i odesłał mnie ambulansem do szpitala urazowego w Haselünne. Niklewicza i Waszelkowskiego po opatrunku odesłano do Quakenbrücku.

Miałem wstrząs mózgu, wylew krwi w płucach i w ogóle patrzyłem na księżą oborę. Jednak po trzech tygodniach nabrałem znów ochoty do życia; wkrótce wróciłem na odpoczynek „do domu".

Sprzęt drukarski z rozbitej ciężarówki, który się jeszcze nadawał do użytku, przeładowano na inny samochód i powiózł go do Brukseli Wysocki, który zajął się tam urządzeniem powstającej drukarni.

Ja tymczasem doglądałem zakładu w Quakenbrücku i szukałem chętnych na pracę w Brukseli. Na ogłoszenie iż będą płatni według stawek belgijskich zgłosiło się kilku składaczy. Kandydatom dawałem małą robotę drukarską do wykonania — niech pokażą co potrafią. Wybrałem dwóch, polecając by się demobilizowali do Brukseli.

Nowa drukarnia otrzymała nazwę „La Colonne" i zarządzana była przez powierników: Eizenmana, Węckowskiego i Artura Tarnawskiego. Każdy z nas złożył po tysiąc franków na wydatki wstępne, zwrotne w późniejszym terminie.

Nie było maszyny do druku, więc powiernicy postanowili zamienić jeden linotyp na taką maszynę z właścicielem innej drukarni, który poszukiwał maszyny do składania.

Wreszcie na wiosnę r. 1946 drukarnię puścił w ruch „prezes" Wysocki.

Przyjechali wówczas do Brukseli Borman i Czarnocki, aby omówić szczegóły w związku z wydawaniem „Wiadomości".

Roboty było dużo, gdyż przybył także i „Orzeł Biały", organ II Korpusu, z własnym personelem redakcyjnym i drukarskim, a Dywizja drukowała swoją Księgę „Dywizja Pancerna w walce". Nasi pisarze i poeci również wydawali swe książki. Były rozmaite zamówienia w związku z okupacją Niemiec.

Nie podobało się to miejscowej partii komunistycznej, która w swoim „Drapeau Rouge" umieszczała napastliwe artykuły na „gniazdo reakbudę, za kierownicą usiadł Niklewicz. Droga prawie pusta, dodał gazu. Przy wymijaniu ciężarówki wóz poślizgnął się, trzasnął w nią bokiem i przekoziołkował tuż przed potężnym drzewem w pole. Leżałem drętwy, Niklewicz posadził mnie pod drzewem, a sam nagle upadł.

Ciężarówka Dodge odwiozła nas wszystkich trzech do szpitala w którym leżałem, przed kilku miesiącami. Po oględzinach, Korneliusa i mnie odstawiono do Quakenbrücku jako poturbowanych. Niklewicz miał pęknięty krąg, musiał przerwać pracę i łaził w gipsowym pancerzu ze cztery miesiące.

Jeździłem jeszcze kilka razy do „Colonny", aby pomóc w nawale pracy, ale zawsze pociągiem.

★

„Wiadomości" drukowano w „Colonnie" prawie przez rok (dokładnych dat nie pamiętam), odeszły, kiedy w Anglii przywrócono tygodnikowi pełny przydział papieru. Zaraz potem zwinął manatki „Orzeł Biały" i też przeniósł się do Londynu. 1 Dywizja demobilizowała się.

„Colonna" była nastawiona przede wszystkim na polskie roboty. Nie miała klientów w języku francuskim, nie miała również czcionek i drukarzy obeznanych gruntownie z potrzebami miejscowego rynku. Polskich zamówień było coraz mniej, szybko topniały zarobione poprzednio pieniądze. Drukarnia nie zarabiała na swe utrzymanie i stanęła przed koniecznością likwidacji. (W Belgii za bankructwo idzie się do więzienia). Powiernicy postanowili sprzęt drukarski sprzedać, aby pokryć zaległe rachunki za wszelkie dostawy i usługi.

Sprawę likwidacji przeprowadził Jacek Rząd, który osiedlił się na stałe w Brukseli. Przy ostatecznym rozrachunku każdy z nas otrzymał zwrot depozytu po tysiąc franków, a kilkadziesiąt tysięcy franków przekazano I Dywizji Pancernej na cele społeczne. Tak się zakończył sen o polskim „pałacu pracy" w Brukseli.

★

W siedem lat później zacząłem znowu składać „Wiadomości" w Londynie. Składałem je przez 15 lat, niemal do śmierci red. Grydzewskiego.

Dziś cieszy mnie że pismo przetrwało pomimo burz i wstrząsów dziejowych, przeciwności losu, złej woli niektórych ludzi, śmierci obu założycieli, że niedługo będzie obchodziło 50-lecie niemal nieprzerwanej ciągłości. Z dumą podkreślam że do tej ciągłości miałem możność choć trochę się przyczynić.

Edmund Goll.

Ogłoszenia w „Wiadomościach"

trwają długie lata

Cena 1 cal × 1 szpaltę £2.00

Zniżki przy wielokrotnych i dużych ogłoszeniach

PLASTYKON

ystaje z udziałem Czytelników.
entarze do zamieszczanych foto-
dymkach.

i z dopiskiem FOTOPLASTYKON.



Konsularny Ambasady)

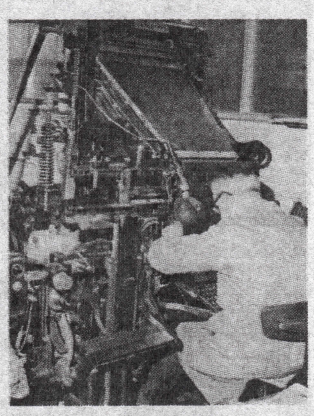
bobkowy alfabet EMIGRACYJNY

G

GOLL EDMUND. Linotypista – i nie tylko (!) – w „Caldra House". Gdy tam pracowałem – naprzeciwko mnie znajdował się jego linotyp. Od pierwszej chwili uderzyła mnie Jego dystyngowana twarz i sylwetka. Był nie lada osobowością. Zdecydowanie wyróżniał się na tle pozostałych drukarzy. Od początku był do mnie przychylnie nastawiony, podczas, gdy inni, traktowali mnie jako trochę zwariowanego wypłocha z Polski. Niestety, w tamtych czasach (rok 1979) istniały jeszcze ostre podziały na „tutejszych" Polaków – czyli wywodzących się z emigracji wojennej – a tych, świeżo przybyłych z komunistycznej Polski. Pan Edmund składał wówczas głównie „Tydzień Polski" i książki wydawane przez PFK (Polską Fundacje Kulturalną). W chwilach wolnych wiele opowiadał mi o historii drukarstwa (kochał swój zawód), „Dziennika Polskiego" i „Wiadomości", dla których pracował przez lata, zanim przeszedł do „Caldra House". Był wybornym gawędziarzem, operował piękną polszczyzną. Dopiero później odkryłem, że pisywał również felietony do „Dziennika". Miał świetny styl i jego kawałki czytało się z przyjemnością. Przy wszystkim był bystry, inteligentny i posiadał niebanalne poczucie humoru. Nic więc dziwnego, że lubili go red. Zygmunt Konn, red. Maciej Cybulski i Teresa Jeśmanowa. Gdyby mogli gaworzyliby z nim – podobnie jak ja – godzinami.

Jak wielokrotnie już wspominałem – byłem fatalnym linotypistą. Po prostu nie znoszę maszyn, a one mnie! Nic zatem dziwnego, że mój linotyp częściej, niż rzadziej zacinał się. Wpadałem wtedy w furię i klątem niczym szewc, rzucając mięsistymi, dalekimi od parlamentarnych, wiązankami. W tych momentach pan Edmund przerywał najpilniejszą nawet pracę, spoglądał na mnie i skręcał się wręcz ze śmiechu. Kiedyś stał się prawdziwy „cud". Mój linotyp przez cały dzień nie wysiadł ani razu. Wychodząc z pracy pan Edmund stwierdził: „Dawno nie miałem tak ponurego dnia, ani razu pan nie zaklął!". Odpowiedziałem: „To nie moja wina, to wina linotypu."

Był zawsze starannie, wręcz nienagannie ubrany jak na warunki pracy w drukarni, tak jak przystało na eleganckiego, staromodnego gentlemana. Jeździł wszędzie rowerem. Wydaje mi się, że nie był wielbicielem nowoczesnej technologii. Nie lubił samochodów. Kiedyś wyznał mi: „Moja ex-żona, gdyby mogła, jeździłaby samochodem nawet z sypialni do łazienki.".



W chwili, gdy z „Caldra House" wycofano linotypy i wprowadzono komputery –pan Edmund przeszedł na emeryturę. Widywałem go jeszcze wielokrotnie na rozmaitych polskich imprezach w Londynie. Był zawsze pełen wigoru – i do rymu – humoru!

Edmund Goll nie miał akademickiego wykształcenia, ale posiadał wrodzoną inteligencję i wrażliwość, z którymi przyszły wspaniałe maniery. Poza tym posiadał olbrzymią wiedzę. A to znaczy więcej niż wszelkie Sorbony, fakultety, czy tytuły.

Panie Edmundzie, przysięgam, ze żadną „macią" ani innym siermiężnym przekleństwem nie rzuciłem od 2001 roku, czyli od czasu pana śmierci. A jednak ciągle mnie korci, aby to uczynić... Problem w tym, że od tamtego czasu nie ma linotypów, a także tak wnikliwego obserwatora i słuchacza. Może jeszcze w jakimś innym wymiarze jeszcze sobie „polinitypujemy". To jest moje naprawdę szczere życzenie. ■

Lesław Bobka

HUMOR NA WEEKEND



Ś.P. 16.8.01

Śp. Edmund Goll

Przeżywamy naszą codzienność w tak zawrotnym tempie, że niezbyt często spoglądamy w głąb naszej duszy. Nie mamy czasu stanąć, rozejrzeć się i dostrzec świat wokół siebie – z jego różnorodną kolorystyką. Poeta mówi: „Poruszamy się po powierzchni rzeczy szybko przeskakując z jednego miejsca na drugie, często w szalonym tempie, które nas wykańcza. Zbieramy dane, pomysły, gromadzimy wokół siebie ludzi, przedmioty, pouczające doświadczenia, nigdy żadnego nie zgłębiając...". Wiele osób może siebie utożsamić z takim obrazem.

Śp. Edmund Goll był człowiekiem, który przez całe swoje życie dostrzegał otaczający go świat. On widział oczyma duszy zawiłości i kolorystykę naszej rzeczywistości. Widział i dostrzegał ludzi, ich problemy, wydarzenia. Zacięcie do pióra i wrodzona spostrzegawczość związały go na stałe z reporterstwem. Początkowo stawiał swe pierwsze kroki jako drukarz, publicysta i autor wielu artykułów w „Dzienniku Żołnierza", wreszcie już po wojnie kontynuował pracę w drukarni „Dziennika Polskiego". Nawet po przejściu na emeryturę pozostał czynnym współpracowniem Redakcji. Pamiętam, gdy wspólnie oglądaliśmy album ze zdjęciami – pan Edmund uśmiechał się wtedy mówiąc: „Kawał historii, to były ciekawe czasy i zawsze było o czym pisać...". Zwykł mawiać, że życie jego było urozmaicone i zawsze coś ciekawego się działo. Osiągnął wiele – był kochającym i wyrozumiałym ojcem dla czworga dzieci, czułym i pogodnym dziadkiem i pradziadkiem. „Dziadzio był jednym z najbardziej pogodnych ludzi" – tak powiedziała o nim wnuczka.

Jego spokój i pogoda ducha były zawsze wsparciem dla innych, współtowarzyszy broni 1 Dywizji Pancernej, potem rodziny i przyjaciół; cichy i wyrozumiały a zarazem pogodny i dowcipny. Był też aktywnym członkiem ewangelickiej wspólnoty Polskiego Kościoła tu w Londynie.

Nie każdemu dane jest długo żyć. Nie każdy może powiedzieć o swoim życiu z poczuciem spełnienia „miałem ciekawe i wesołe życie".

Pożegnanie wygłoszone podczas nabożeństwa żałobnego



Edmund Goll w drukarni „Dziennika Żołnierza" (Forfar Press), wiosna 1941 r.

EDMUND GOLL urodził się 25 kwietnia 1910 r. w Warszawie, w rodzinie ewangelickiej. Ojciec był stolarzem. Szkołę powszechną ukończył w 1925 r. Następnie odbył praktykę składacza (zecera), którą ukończył w 1929 r. Jednocześnie z praktyką uczęszczał do wieczorowej Szkoły Graficznej przy ul. Skłodowskiej w Warszawie, w której uzyskał dyplom towarzysza sztuki drukarskiej.

W latach 1928-1938 z zamiłowaniem uprawiał kolarstwo, biorąc udział w większości polskich imprez w pierwszej klasie, z wynikiem średnim, jednak zdobył kilka tytułów mistrzowskich. Należał do klubów „Drukarz", „Świt" i „Warszawskie Towarzystwo Cyklistów".

W latach 1932-33 odbył służbę wojskową w 8. pułku artylerii lekkiej w Płocku, w plutonie łączności, jeżdżącym na koniach, skąd został wysłany na półroczny kurs łączności telefonicznej w Zegrzu.

Zawarł związek małżeński w 1939 r. z panną Haliną Bąk; 24 sierpnia tegoż roku został zmobilizowany do 1. pułku artylerii przeciwlotniczej w Warszawie. Kampanię wrześniową odbył w 6. baterii kpt. Gila jako telefonista. Spychani przez Niemców na południe Polski, zostali napadnięci przez Armię Czerwoną w okolicach Równego i Stanisławowa. Bateria w marszu bojowym dotarła do granicy węgierskiej, którą przekroczyła w nocy z 18 na 19 września 1939 r.

Internowanie z obozie Ipolitarnoc w pobliżu Losoncza, ucieczka do Jugosławii, przez Włochy do Francji, przydział do baterii francuskiej artylerii przeciwlotniczej w St. Nazaire – to jego dzieje przez następny rok.

Po załamaniu się Francji w 1940 r., załadowanie się z wycofującymi się oddziałami brytyjskimi w porcie St. Nazaire na „łajby" angielskie i przeprawa do Anglii. Przewiezienie do Szkocji, gdzie odbywają się różne służby przeciwinwazyjne i szkolenie w formującej się 1. Dywizji Pancernej – kursy kierowców samochodowych, radiowych, pirotechniki.

Na początku 1941 r. przydział do „Dziennika Żołnierza" w Szkocji, w charakterze składacza-drukarza. Na wiosnę 1944 r. odkomenderowanie do „Dziennika Żołnierza Dywizji Pancernej", ruszającej na inwazję kontynentu. Sprawuje funkcję techniczną w ukazywaniu się pisma, na razie na powielaczu, a później w druku. Potrafi w sytuacjach najbardziej trudnych doprowadzić do produkcji gazety, aby żołnierze codziennie otrzymywali najświeższe wiadomości z frontu i ze świata. Robił też druki potrzebne do czynności wojskowych, jak i cywilnych.

Szczytem osiągnięć było zmuszenie partyjnych hitlerowskich drukarzy w Wilhelmshaven, do składania „Dziennika Żołnierza". Podobna historia zdarzyła się w Quakenbrücku, gdzie był „bossem" w ciągu 2-letniej okupacji. Tu z Polski sprowadził żonę z 6-letnią córeczką.

Po demobilizacji zaczął pracę w londyńskim „Dzienniku Polskim". W 1953 r. ze względów finansowych przeniesiono drukarnię do Hove w Sussex. Został w Londynie i przez następne 15 lat zaangażował się do składania „Wiadomości" redaktora Mieczysława Grydzewskigo. Po jego śmierci zaczął pracować jako linotypista w „Dzienniku Poskim" w Hove, aż do emerytury w 1984 r. Z małżeństwa jest czworo dzieci.

Przez długie lata był kronikarzem kombatanckim 1. Dywizji Pancernej. Był także pamiętnikarzem utrwalającym w druku ciekawszych i „kolorowych" ludzi.

T.P. 16.8.01

Pan Edmund

Od maja 1979 r. do października 1980 r. pracowałem jako operator linotypu w Caldra House – drukarni „Dziennika Polskiego" w Hove. Naprzeciwko mnie znajdował się linotyp, przy którym pracował Edmund Goll. Od pierwszej chwili uderzyła mnie jego dystyngowana twarz i sylwewtka. Czułem, że był nie lada osobowością. Zdecydowanie wyróżniał się na tle pozostałych drukarzy.

Od początku był w stosunku do mnie przychylnie nastawiony podczas, gdy inni traktowali mnie jako trochę zwariowanego wypłocha z komunistycznej Polski. Niestety, w tamtych czasach podziały na „tutejszych" i tych „z kraju" były jeszcze bardzo mocno zakorzenione w mentalności emigrantów wojennych.

Pan Edmund składał wówczas głównie „Tydzień Polski" oraz książki wydawane przez Polską Fundację Kulturalną. W chwilach wolnych opowiadał mi wiele o historii drukarstwa „Dziennika Polskiego" oraz „Wiadomości", dla których pracował przez lata, zanim przeszedł do Caldra House. Był nie tylko świetnym narratorem, ale operował również bardzo piękną polszczyzną. Dopiero później dowiedziałem się, że pisywał także do „Dziennika". Miał dobry styl i jego artykuły czytałem zawsze z przyjemnością. Nie nudził bowiem i nie rozdzielał włosa na czworo. Jego kawałki były zwarte i klarowne. Posiadał przy tym spore, niebanalne poczucie humoru. Nic więc dziwnego, że wysoko cenili go i lubili z nim pogaworzyć m.in. redaktor Zygmunt Konn, Teresa Jesmanowa czy Maciej Cybulski. Były to rozmowy, czy raczej dialogi rozgrywające się na zasadzie ping-ponga – inteligentne i pełne błyskotliwego dowcipu.

I tu muszę wyznać, że byłem fatalnym linotypistą. A wynikało to stąd, że po prostu organicznie nie znoszę żadnych maszyn. Utarło się nawet kiedyś powiedzenie, że jeśli nawet tylko przejdę obok jakiejkolwiek maszyny – natychmiast psuje się. Nic przeto dziwnego, że mój linotyp co jakiś czas – raczej częściej niż rzadziej – zacinał się. I aby absurdowi stało się zadość – nic tak nie doprowadza mnie do szału, jak psująca się maszyna. W takich momentach klątem jak szewc, rzucając mięsistymi, dalekimi od parlamentarnych wiązankami. W tych momentach pan Edmund przerywał najpilniejszą nawet pracę, obserwował mnie i skręcał się wręcz ze śmiechu. Kiedyś stał się „cud". Mój linotyp nie nawalił przez cały dzień. Wychodząc z pracy pan Edmund powiedział:

– Dawno nie miałem tak ponurego dnia, ani razu pan nie zaklął!

– To wina linotypu, a nie moja – wyznałem szczerze.

Pan Edmund był zawsze starannie, wręcz nienagannie ubrany, jak na takie warunki pracy. Był staromodnym dżentelmenem. Jeździł wszędzie rowerem; wydaje mi się, że nie był wielbicielem nowoczesnej technologii. Nie lubił nawet samochodów. Kiedyś, podczas jakiejś rozmowy o samochodach, tak powiedział o swojej żonie:

– Gdyby mogła, jeździłaby samochodem nawet z sypialni do łazienki.

W chwili, gdy z Caldra House wycofano linotypy i wprowadzono komputery, pan Edmund przeszedł na emeryturę. Później widywałem go wielokrotnie na różnego rodzaju imprezach odbywających się w Londynie. Był ciągle pełen nie tylko wigoru, ale – jak zawsze – poczucia humoru.

Edmund Goll nie miał akademickiego wykształcenia, ale posiadał olbrzymią wiedzę. Był przy tym bardzo inteligentny i wrażliwy. A to częstokroć w życiu znaczy o wiele więcej niż wszelkie Sorbony, fakultety, czy tytuły.

Lesław Bobka

D.P. 16.10.2001

Ostatnie pożegnanie Edmunda Golla

W dniu 14 września 2001 r. w Kaplicy Halpertów na cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim w Warszawie, został pożegnany przez grono rodziny i przyjaciół Edmund Goll.

Zmarł mając 91 lat w lipcu 2001 r. Życzeniem jego było, żeby prochy jego spoczęły na polskim cmentarzu w grobie siostry, tuż obok grobu rodziców, brata i sióstr. Życzenie to zostało spełnione. Po modlitwie w kaplicy, nad otwartą mogiłą i urną z prochami stanął poczet sztandarowy, złożony z towarzyszy broni zrzeszonych w stołecznym środowisku 1. Dywizji Pancernej Gen. Stanisława Maczka oraz Kompania Honorowa Wojska Polskiego.

Wspomnienie o zmarłym wygłosił pastor-kapelan. Pochylił się sztandar, huknęły salwy honorowe, kolegę żołnierza pożegnał prezes środowiska i urna z prochami spoczęła w grobie.

Mogiłę pokryły wiązanki kwiatów i stary wiarus odszedł na wieczną służbę. Spoczął w odległości kilku alejek od swojego serdecznego przyjaciela Józefa Stefańskiego, z którym, przy każdej bytności w Polsce, toczył długie wspomnienia w Warszawskim Towarzystwie Cyklistów, którego bywał gościem. Nigdy nie zarzucił swojej pasji – roweru. Pedałował na nim do 88 roku życia i dopiero zdrowie zmusiło go do opuszczenia siodełka. Został w pamięci rodziny jako prawy Polak, zawsze szczycący się swoim braterstwem broni z kolegami z 1. Dywizji Pancernej, jako dobry ojciec, dziadek, brat, wujek i stryjek, a mój serdeczny przyjaciel. Cześć Jego pamięci.

Sławomir Goll

